



Kochani...

Widzicie tu obrazek, kto jest na obrazku - poznajecie pewno wszyscy, prawda? To przecież Pierwszy Marszałek Polski **Józef Piłsudski**. Fotografia jest stara, bardzo stara, bo z przed 19. laty, kiedy Was jeszcze na świecie nie było. Widzimy na niej Marszałka na ulicy Warszawy, pośród tłumu w pierwszą rocznicę odrodzenia Państwa Polskiego, kiedy to po raz pierwszy obchodzono uroczystości jedenastego listopada, dzień święta wszystkich Polaków.

Cóż to za dzień taki — pytacie. Fe, to tylko najmłodsze z Was mogą tego nie wiedzieć, o tym nie pamiętać. Starzy przyjaciele Krasnali wiedzą już o tym dobrze. Wiedzą, że jest to rocznica powrotu Marszałka Piłsudskiego z twierdzy magdeburskiej, gdzie go Niemcy w zamknięciu trzymali, wiedzą, że dzień ten jest świętem narodo-



wym, bo od 11. listopada 1918. roku Polska znów stała się państwem niepodległym, niezależnym od nikogo. Dzień 11. listopada dla Polski, to to samo, co dla Łotwy dzień 18. listopada.

Dzień ten święci Polska cała. Odbývają się tam wielkie defilany, obchody i akademie dla dorosłych i dla dzieci. Ale nie tylko w Polsce święcą ten dzień, święcą go wszędzie tam, gdzie tylko są Polacy, bo to jest wielkie polskie święto.

Napiszcie mi, Kochani, co wiecie o 11. listopada, a kto najładniej i najlepiej napisze — zobaczy swe opowiada-

nie wydrukowane i w nagrodę dostanie piękną książeczkę Przyborowskiego „Młodzi Gwardziści”.

Czekam liścików i ściskam Was serdecznie

Krasnal Długonogi

≡ O synku Filipku ≡

W chałupce ponad rzeką, około przewozu żył sobie stary przewoźnik ze swoją żoną staruszką. Żyli już bardzo długo na świecie i doczekali się późnej starości, a nie mieli dzieci. Toteż smutno było bardzo staruszcze, tak smutno, że nawet opowiedzieć trudno.

I odezwała się kiedyś staruszka do starego przewoźnika w te słowa: „Nieszczęśliwi my jesteśmy, nie dał nam Pan Bóg dzieci. Żebyś mi bodaj to polano brzozone ostrugał, tobym je sobie szmatką o kręciła, w kolebeczce ukołysała, piosneczkibym mu śpiewała, chociaż na chwilę o tym smutku moim zapomniała.”

Żał się staremu zrobiło żony staruszki, chwycił polano, ostrugał, wystrugał chłopcza, węgielkiem naznaczył mu oczki, usteczka i nosek i dał staruszcze.

Staruszka uradowała się bardzo, piastowała go, kołysała niczym żywego. Tak go serdecznie kołysała, że chłopczyzna ożył odrazu, zakrzyczał, a potem już rósł, jak inne dzieci.

Cieszyli się nim staruszkowie, oj cieszyli! Nazwali go Filipkiem. Hodowali go, hołubili, jak tylko umieli.

Filipek wyrósł na zdrowego, dzielnego chłopaka, na pociechę stareńkim rodzicom. Już zaczął nad rzekę chodzić i ryby wędką łowić. Potem nauczył się i czółtenkiem pływać, a tak mu się to spodobało, że czasem już o świecie na czółno siadzie, wzdłuż rzeki płynie i rybki łowi. O południu wyjdzie na brzeg matka, rozłoży ogień, nad ogniem kociołek zawiesi, nagotuje kaszy i zawoła:

— Synku Filipku, co tam tak ciągle po rzece pływasz, rybki łowisz? Chodź ino na brzeg, dam ci kaszki doskonałej ze skwarkami.

A wtedy synek Filipek podjeżdża czółnem do brzegu, wyklada ryby, daje matce, potem siada, zajada smakowicie kaszkę — i dalej do roboty z powrotem.

Ale razu jednego Baba-Jaga podpatrzyła, jak matka woła Filipka. Strasznie się jej chciało takie śliczne pachole mieć na własność i zaczęła myśleć, przemyśliwać, jakby to Filipka podejść, schwytać i wprowadzić do własnej chaty.

Pewnego dnia siadła Baba-Jaga na miotłę i pognąła na brzeg rzeki. Tam rozłożyła ogień, zawiesiła kociołek, a gdy kasza już była mięciutko rozgotowana, schowała się w krzaki i zawołała:

— Synku Filipku, co tam tak ciągle po rzece pływasz, rybki łowisz? Chodź ino na brzeg, dam ci kaszki doskonałej ze skwarkami.

A Filipek jej na to:

— Ja wiem, że to nie moja matula woła: moja matula ma cieniutki głos, a ten taki gruby! Ja wiem, że ty jesteś Baba-Jaga i tylko udajesz moją matulę, bo chcesz mnie oszukać, porwać i mieć na własność w swojej chacie.

I ani myślał podjechać do brzegu, więc Baba-Jaga musiała wracać rada nie rada z próżnymi rękami.

Na drugi dzień Baba-Jaga poszła do kowala, który podkuwa konie, i tak mu powiada:

— Hej, kowalu, kowalu, ukuj-że mi nowy język, bo mi potrzebny głos taki cieniutki, jak ma Filipkowa matula.

Kowal ukuł Babie-Jadze cieniutki języczek tak, żeby mogła mówić cienkim głosem. A wtedy Baba-Jaga raz dwa, w mig była nad rzeką, w mig rozpałała ogień, ugotowała kaszkę i zawołała cieniutkim nowym głosem:

— Synku Filipku, co tak ciągle po rzece pływasz, rybki łowisz? Chodź ino na brzeg, to ci dam doskonałej kaszki ze skwarkami.

Posłyszał synek Filipek, pomyślał, że to matula wołają: podjechał łodzią i wyskoczył na brzeg. A wtedy Baba-Jaga wypadła zza krzaków, chwyciła go w pazury, posadziła za sobą na miotle i pojechała do swej chaty. Tam zamknęła Filipka do świetlicy, a sama poleciała sprzątać kumy na hulanke, z tej radości, że takiego ślicznego chłopaczka ma teraz na własność.

Kiedy się Filipek opamiętał trochę po tej podróży na miotle nad lasami i łąkami, zaczął rozglądać się po świetlicy, jakby tu czmychnąć. Próbuje drzwi — zamknięte na kluczy; chodzi, chodzi, szpera po wszystkich kątach. Nie chce się Filipkowi zostać w chacie Baby-Jagi bez matuli i taty. Nagle widzi — okno niedomknięte.

Otworzył Filipek okno, hycnął na podwórze a rozgląda się, którędy tu iść do domu, a tu nagle słyszy szum motły nad laskiem.

Gwałtu! Baba-Jaga wraca! Niewiele myśląc, Filipek wdrapuje się na gruszę, która stała przed domem. Ledwo skrył się w gęstych konarach, kiedy już Baba-Jaga spuściła się przed ganek, otworzyła drzwi i weszła do świetlicy.

Oj, zła była Baba-Jaga, kiedy zobaczyła izbę pustą i otwarte okno!

Wściekła wypada przed chatę, a tu Filipek nie wytrzymał i na cały głos roześmiał się na swym drzewie. Baba-Jaga głowę zadarła — zobaczyła Filipka na gruszy. Porwała siekierę, rąbie, rąbie, rąbie, aż sapie ze złości. Nie daruje teraz Filipkowi!

Popatruje Filipek na dół, widzi, że jest źle. Znikąd pomocy. Popatruje do góry, a tu widzi, że nad nim kaczki dzikie lecą. Zawołał do nich:

— Kaczuszki bielutkie, kaczuszki siwiutkie, rzućcie mi po piórku, splotę se skrzydelka, polecę do domu, do mamy i taty.

I kaczki rzuciły mu każda po piórku. Filipek upłół sobie z nich skrzydła, i zamachał nimi, ale były bardzo rzadkie, bardzo słabe, nie mogły go udźwignąć. A Baba-Jaga ciągle rąbie, aż wióry lecą we wszystkie strony.

Spojrzał Filipek znou do góry — widzi, a tu lecą kluczem dzikie gęsi. Zawołał:

— Gąski bielutkie, gąski siwiutkie, dajcie mi po piórku, wplotę se do skrzydeł, polecę do domu, do mamy, do taty.

I gąski rzuciły mu każda po piórku. Wpłół sobie te piórka do skrzydeł i zamachał nimi, ale były jeszcze bardzo małe, nie mogły udźwignąć Filipka. A Baba-Jaga rąbie i rąbie, nie ustaje, aż pień zatrzęszał i pochylił się na jedną stronę.

Jeszcze raz spojrzał Filipek na niebo i widzi: leci stado łabędzi. Zawołał do nich:

— Łabędzie bieluchne, łabędzie śnieżyste, dajcie mi po piórku, to wplotę do skrzydeł, polecę do domu, do mamy i taty.

I łabędzie rzuciły mu po piórku, a on je sobie wplotł do skrzydeł.

A tymczasem tam w dole Baba-Jaga już pień podcięła. Runął pień, a Filipek zamachał skrzydłami i poleciał wysoko, wysoko, niby ptak.

Baba-Jaga załamała ręce, ziszczyla zębami.

A Filipek leciał do domu, do mamy i taty. Przyleciał do domu i siadł pod oknem na trawce.

A właśnie staruszka nasmażyła pączków i przyjmowała gości. Myślała przyciem po cichu: „Co to mój synek Filipek tak długo dzisiaj na rzece, czy mu się aby co złego nie przytrafiło?”

— No matko, jakże z tymi pączkami? — upomniał się stary.

— Ten będzie dla gościa — odpowiedziała staruszka, — ten dla ciebie, mój stary, a ten dla mnie.

A tu nagle jakiś głos odzywa się spod okna:

— A dla mnie nie?

— Wyżyj-no stary, któż to za oknem upomina się o pączek?

Stary wyszedł przed dom, zobaczył Filipka, uściskał go, przyprowadził do matki, a wtedy zaczęło się całowanie i opowiadanie, opowiadanie i całowanie. I żyli sobie potem długo, szczęśliwie: staruszek, staruszka i kochany ich synek Filipek.

Tłum. z czeskiego

Jurek i pszczoła

Na szybce przezroczystej usiadła złota pszczoła.

Deszcz pada, zimno, brzydko i mokro dookoła...

Ciężko — bezwładnie zwisły skrzydelka zamoczone.

Bezradnie drżą na szybce jej łapki zablocone...

Czeka ją ul — staruszek, choć deszcz zacina ostry...

I smutnie pobrzękując, czekają pszczoły — siostry.

Zobaczył Jurek pszczołkę zmoczoną, cichą, biedną.

Powoli za skrzydelka ujął ją ręką jedną

i zaniósł ją do ula.

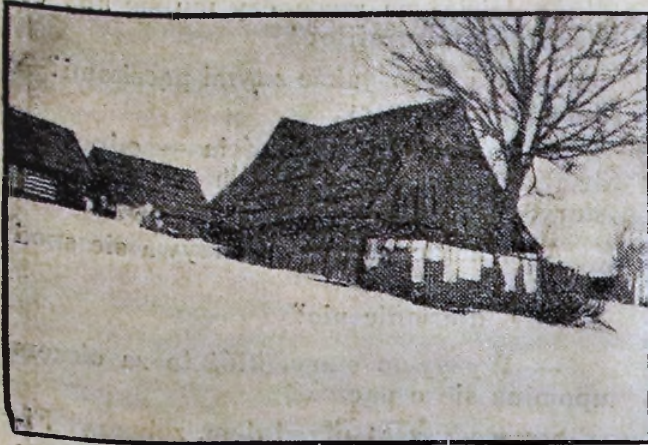
choć deszcz zacinał ostry,

gdzie ją czekały smutne

złociste pszczoły — siostry.

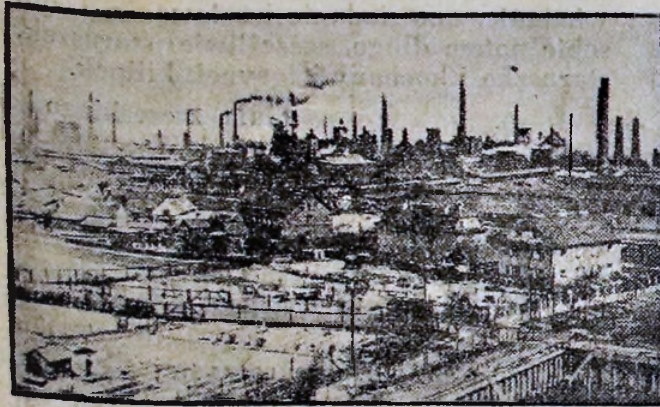
M. A. Kasprzycka

OBRAZKI



Widzicie tu obraz

W prawym i lewym rogu górnym: to typowe zagro-
szeregu — to jedna z uliczek w Zakopanem, wiodą-
zamku królewskim w Warszawie, gdzie mieszka p-

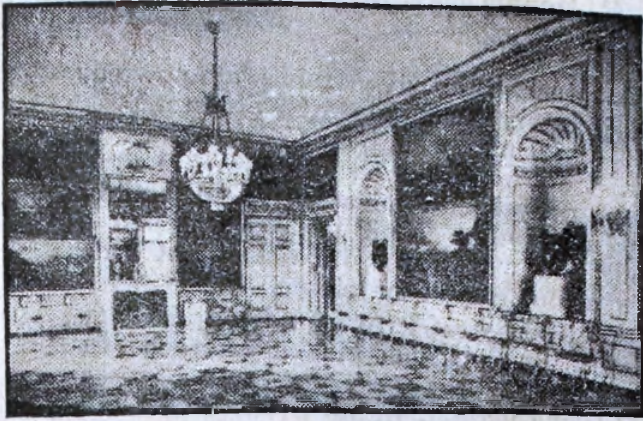


Na lewo: Widok na fabryki w
Królewskiej Hucie. Królewska
Huta to miasto Śląskie. Widzicie
ile kominów!



Na lewo: piękny
gmach Głównej Szko-
ly Handlowej w War-
szawie, Główna Szko-
ła Handlowa, to szko-
ła wyższa, tak jak
uniwersytet, tylko ci,
którzy ją kończą nie
są ani lekarzami, ani
adwokatami, jeno
wielkimi specjalistami
handlu





ki z całej Polski

dy włościańskie. Ten drugi od lewej w górnym
ca do Morskiego Oka. Trzeci — to jedna z sal na
prezydent Rzeczypospolitej



Na prawo: Znowu jedna z sal
w siedzibie Prezydenta Polski w
Warszawie

A to Tatry, góry polskie widziane
„z lotu ptaka“ — z samolotu



Na lewo, u góry:
gmach Zachęty Sztuk
Pięknych w Warsza-
wie, gdzie odbywają
się piękne wystawy
obrazów i gdzie zawa-
sze oglądać można
słynne obrazy Matej-
ki. „Bitwa grun-
waldzka“, która
widzieliśmy w repro-
dukcji, na obrazku
albo pocztówce. Na
lewo: Tu znów po-
tężna fara w Chojni-
cach.



Bubu, Bebe i Bibi

Napisał Stanisław R. Hennig

I.

Upał był szalony. Leżałem na łóżku i przyglądałem się murzyńskim kurom, które bezceremonialnie łaziły po wszystkich kątach, śmiesznie podskakując i wylapując muchy, komary i rozmaite mite owadki, dręczące ród ludzki.

Było to w Afryce, w Senegalii.

Mieszkałem w murzyńskiej chatce, gwałtem przerobionej na mieszkanie dla Europejczyka.

Zasłona okrywająca dużą dziurę, nasładującą drzwi, uniosła się i mały Bubu wsadził czarny łebek. Zerknął badawczo pod zasłonę z muslinu i szepnął:

— Musju¹⁾, śpisz?

Przymknąłem oczy i udawałem śpiącego.

— Musju? Śpisz? Naprawdę śpisz? — pytał głośnie, wchodząc do chaty, szumnie zwanej pokojem.

Milczałem. Przekonany, że śpię, podrapał się po wygolonej głowinie i zmarszczył czarny pyszczek. Nagle błysnął szelmowsko niebieskawymi białkami i podniósł wrzask.

— Precz! Wszystkie precz! — krzyczał i wyganiał kury z pokoju.

— Czego wrzeszczysz? — zapytałem surowym tonem.

— Nie, ja tylko wyrzucać kury, żeby cię nie obudziły — odparł z bezwstydnym uśmiechem.

— Tak? I dlatego wrzeszczysz, jakbyś wlażył na krokodyla? Powiedz zaraz, czego chciał?

— Daj, musju, franka, to ci powiem — wyciągnął brudną, czarną łapkę.

— Najpierw powiedz — odrzekłem.

— A dasz? Na pewno dasz franka? — dopytywał troskliwie.

— Dam, ale mów zaraz.

— Ojciec — wódz i trzy ludzie, oni iść polować małpy. Oni pytać, czy biały musju pójdzie z nimi — gadał Bubu, przewracając oczami. — A teraz daj franka. Powiedziałeś, że dasz, to daj, musju, franka.

Aż podskoczyłem na łóżku. Polowanie na małpki na sposób murzyński. Na to czekaniem od paru tygodni.

¹⁾ Przekręcany przez murzynów francuski wyraz monsieur, co znaczy: panie.

— Masz. Bubu, dwa franki, ale powiedz mi, jak oni będą polować? Strzelbą?

— Nie, musju, oni łapać żywe, na tykwy. Za dwa dni i jeszcze dwa dni duży okręt przyjdzie do miasta i wielu białych musju i madam kupić małpki, a ojciec — wódz schować dużo, dużo franki. Chodź, musju, oni czekać na ciebie.

O kilkanaście kroków od mojej chaty, siedziało w kucki na piasku czterech Murzynów.

Ojciec małego Bubu, król i wódz wioski, wyciągnął tłustą, spoconą łapę i rzekł:

— Właśnie, mosje, my nie mieć tytoń. Ty, mosje, nam dać cygara, to my zaraz iść polować małpy.

Murzyn nie przejdzie koło białego, żeby go nie wyzyskać.

— Cygara? No, masz, wodzu, cygaro — odrzekłem, podając mu cygaro.

— Ach, mosje, jaki ty być skąpy! A moi ludzie nie mieć cygaro. Ty dać nam po trzy cygaro — rzekł wódz, kiwając głową.

— Myślę, że po jednym będzie dość.

— Ty źle myśleć, mosje. No, daj po dwa, ale dla mnie trzy!

— Tylko dwa — rzekłem, podając im cygara.

Król sapnął z zadowoleniem, odgryzł pół cygara i zaczął żuć, przewracając z lubością oczami.

Gdy pierwsze cygaro zżuł, zaraz zaczął się dopominać o nowe.

— Fe! Wstydź się, wodzu! Jesteś natrętny, jak małe dziecko.

Król nadąsał się i zaczął mruczeć pod nosem o skąpstwie białych ludzi, co mają pełne skrzynie bogactw, a żałują sławnemu wodzowi marnego cygara.

— Nie wiesz, wodzu, kto wypił wczoraj w moim mieszkaniu całą butelkę odołu do płókania zębów? — spytałem zniechęta. Zawstydzony wódz podniósł się i rzekł:

— Chodź, mosje, na małpy.

Łowcy obławowali jednego w pośród siebie wydrążonymi tykwami i sznurkami z włókna palmowego, poczem wyruszyliśmy w pochód. Na przedzie skakał mały Bubu, nosząc podróżną apteczkę.

Przedzieraliśmy się przez zbity afry-

kański „bush”. Trzeba się było wystrzeżać ukłucia trujących roślin. Od jednego ukłucia ręka pokrywała się złośliwymi wrzodami, które nie znikaly po kilka tygodni. Musiałem także patrzeć pod nogi, aby nie stanąć na skorpionie, lub bardzo jadowitego węża. Już to węży w tej okolicy było mnóstwo, ale przeważnie nieszkodliwych. W mojej chacie co rano znajdowałem po kilka sztuk domowych murzyńskich węży, nie licząc dużych złozielionych jaszczurek-mucholapek, swobodnie spacerujących, nawet w biały dzień, po ścianach.

Po półgodzinnym marszu stanęliśmy na odpoczynku. Słońce doskwierało prawdziwie po afrykańsku. Otyły król sapal, jak miech kowalski.

— Mosje, daj pić wodzowi z twojej butelki — prosił ciągle.

— Napij się wody z tykwy, którą masz u boku — odpowiedziałem.

Nareszcie, złani potem, stanęliśmy w bananowym lasku.

Stada małp i małpek, żerując na bananach i chlebowcach, podniosły srogi wrzask i krzyk. Piszcząc, skrzecząc i wyjąc, towarzyszyły nam, skacząc z drzewa na drzewo i obrzucając łupinami bananów. Doszliśmy do małej polanki. Małpy zwieszały się z gałęzi i szwargocząc przyglądały się naszej gromadce. Murzyni poczynili niezbędne przygotowania i w wydrążone duże tykwy nakładli orzeszków i innych smakolepków. Mały Bubu, wzięwszy jedną tykwę, poszedł na środek polanki i przykucał na ziemi. Włożył rękę o otwór, wyjął garść orzeszków i zaczął jeść, głośno mlaskając wargami i podskakując, jak zadowolona małpka. Wreszcie wrócił do nas, zostawiając tykwę na polance. Małpki z ogromnym zainteresowaniem przyglądały się tej lekcji pogładowej. Z pół godziny minęło na bezowocnych naradach, jak w małpim sejmie. Jedne twierdziły, że to jakieś ludzkie szachrajstwo; inne zaś głośno skrzeczały, w podnieceniu drapiąc się po kosmatych bokach, że to prawdziwe dobrodziejstwo dla małpek i że należy zeń skorzystać. Jeszcze inne w zamyśleniu bujały się na ogonach, wreszcie oświadczyły z rozważą, że sprawę tę należy zbadać, do dna i wysłać na zwiady wywiadowcę.

Jakoż, po chwili, jedna małpka spuściła się na ziemię i, płochliwie skacząc, dotarła do tykwy. Przyłożyła oko do otworu, ujrzała smakolepki i, naśladując murzynka, sięgnęła łapką i wyjęła garść orzeszków. Na ten widok licznie zgromadzona czwororęka publiczność aż jęknęła z zawiści, a dwie bardzo łakome małpki zeskoczyły z drzew z zamiarem wydarcia orzeszków odważnej koleżance. Ona biedactwo, drżąc ze strachu o swe skarby, wskoczyła na drzewko i szybko wpakowała przysmaczki do pyszczki, a dwaj zawiściwnicy klócili się przy tykwie, kto wpierv włoży rękę w dziurę. Wreszcie silniejszy wsadził łapkę i, złapawszy garść orzeszków, czym prędzej chciał włożyć drugą, czym oburzony towarzysz ugryzł go w ogon. Chciwiec jęknął boleśnie i, chwyciwszy wolną ręką uszkodzoną ozdobę, uciekł na drzewo. Zwycięski współzawodnik triumfująco wsadził łapkę w tykwę, długo w niej grzebał, ale wyjął tylko dwa orzeszki. Zawiedziony, siedział, grzytając zębami w bezsilnej złości.

Na to wbiegł Bubu i szybko porozstawił 10 dużych tykw. Małpki powitały go okrzykiem radości i uznania. Co za dobroczyńca małpiego rodu! Cały małpi sejm, mając oczywisty dowód, że murzynek ma tylko ich dobro na celu, z gwizdem radości rzucił się na łeb na szyję do tykw z orzeszkami.

Zapanował krzyk, wrzask i harmider. Małpki się gryzą, biją, popychają, targają za uszy, zupełnie jak uczniowie pewnej szkoły podczas wielkiej pauzy. Każda chce pierwsza włożyć łapkę do tykwy.

Ale tu się kryła przykra niespodzianka. Wszystkie tykwy miały bardzo mały otwór; małpki mogły z trudem włożyć łapki i zaczerpnąć pełną garść orzeszków, ale wyjąc tylko wówczas, gdyby wypuściły orzeszki z łapek. Ale na to były za chciwe i za głupie. Chciały uciekać, ale ciężka tykwa nie pozwalała im ruszyć się z miejsca. Podskakiwały niezgrabnie, szarpiać się i wrzeszczać.

Wtedy wypadli Murzyni z ukrycia. Wolne małpki uciekły w popłochu na drzewa, a 10 uwięzionych piszczało żalobnie. Lowcy małp szybko popętaли ofiary łakomstwa i zabraliśmy się do odwrotu.

Dalszy ciąg nastąpi

Listopad

Złote, żółte i czerwone
Opadają liście z drzew,
Zwiędłe liście w obcą stronę
Pozanosił wiatru wiew.
Nasza chata niebogata,
Wiatr przewiewa ją na wskroś
I przelata i kolata
Jakby do drzwi pukał ktoś.
W mokrych cieniach listopada
Może ktoś zabląkał się?
Nie, to tylko pies ujada!!
...Pomyśl także i o psie.

Dmucha plucha-zawierucha,
Wiher nie chce przestać lkać,
W Imię Ojca, Syna, Ducha...
Czas już dzieci, czas już spać.

Strach na wróble wiatru słucha,
Sam się boi biedny strach,
Dmucha plucha-zawierucha,
Całe szyby stoją w łzach.
Jakiś wątył wóz na szosie
Ugrzął w błocie, aż po oś,
Skrzypią, skrzypią w deszczu osie.
Jakby właśnie płakał ktoś.
Mgły na polach, ciemność w lesie.
Drga jesieni smutny ton,
Przyjdzie wieczór i przyniesie
Sny, i mgły i stada wron.

Zabawa w pytkę

Koło stworzyć łatwo — wystarczy tyl-
ko schwycić się za ręce, później zbliżyć
się do środka tak, by zetknąć się ramio-
nami, z sąsiadami.

Jeden z graczy otrzymuje do rąk pytkę,
najlepiej ręcznik lub coś podobnego,
paska należy unikać a dlaczego, to sami
przekonacie się, jak nim dostaniecie po
plecach.

Gracz z pytką chodzi poza plecami two-
rzących koło i w pewnej chwili niespo-
strzeżenie wsuwa pytkę jednemu z grają-
cych (zapomniałem dodać, że wszyscy w
kole trzymają ręce z tyłu i nie mają pra-
wa oglądać się).

Uszczęśliwiony posiadaniem pytki
gracz przez chwilę stoi nieruchomo, by dać
możność temu, kto mu pytkę wręczył,
odmaszerować dalej. Następnie posiadacz
ręcznika - pytki uderza sąsiada ze swojej
prawej strony, a ten, nie czekając, aż go
będzie boleć, ucieka czym prędzej dookoła

wszystkich i zajmuje przed chwilą opu-
szczone miejsce.

Domyślcie się zapewne wszyscy, że
nowy „pytkarz“ dodaje biegnącemu otu-
chy i uderza go ręcznikiem dopóty, dopóki
uciekający nie zajmie swego miejsca.

Następnie ten, który posiada pytkę,
spaceruje dookoła graczy i znowu komuś
ją wręcza, a sam staje na jego miejscu.

I tak można grać, aż się znudzi.
Śmiechu będzie sporo — spróbujcie!

Rozwiązania z num. 29.

ZAGADKI

1) po — datki; 2) samo — loty; 3) ma
-- liny; 4) k — raty; 5) ma — tura.

GWIAZDA W KOLE

W kole — 1) Czad, 2) Dnie, 3) Fale, 4)
Farb, 5) Czub.

Promienie gwiazdy: 1) Cyna, 2) Duma,
3) Etna, 4) Figa, 5) Bona.

Teatrzyk Kukielkowy ZPM

W NIEDZIELĘ 13. LISTOPADA W DOMU POLSKIM W DAUGAWPILS
wystawia bajkę Kownackiej

„O dzielnym szewczyku“

Początek o godz. 15. i 18.

Ceny normalne